

Teresa Toruńska

OMI



DEZWA

CENTRALNEGO
Związku Zawodowego Pracowników
Przemysłu i Handlu
Wewnętrznej

WIEDZA

Teresa Torańska

ONI

Spis treści

Wstęp	4
Celina Budzyńska	11
Edward Ochab	67
Roman Werfel	135
Stefan Staszewski	186
Wiktor Kłosiewicz	282
Leon Chajn	322
Julia Minc	350
Jakub Berman	369
Leon Kasman	567
Kalendarium wydarzeń 1944-1970	710
Notka bibliograficzna	760

Wstęp



Tę książkę pisałam ponad cztery lata, od jesieni 1980 do końca 1984 roku. Zaczęłam po wybuchu „Solidarności”, która niosła nadzieję na wolność i radość, że ONI już przegrali, a skończyłam, gdy Polska znowu była PRL-em, dla mnie wciąż – mimo oficjalnego zniesienia – w stanie wojennym. W ZSRR po śmierci Leonida Breżniewa rządzą jego ideowi następcy: Jurij Andropow i Konstantin Czernienko, i chyba nikt nawet w naj śmielszych marzeniach nie przypuszczał, że za pięć lat rozpadnie się blok sowiecki i Polska odzyska suwerenność. Ja w każdym razie na to nie liczyłam. W stanie wojennym, po dziesięciu latach pracy w dziennikarstwie, stałam się człowiekiem wolnym od oficjalnej etatowej pracy, wolnym od zarabiania pieniędzy, planowania przyszłości i układania sobie życia. I była we mnie... wiara – zupełnie irracjonalna – że ICH wyznaniami, jeśli nie zakłócę, to skomplikuję bieg historii.

Spółeczeństwo dzieliło się wtedy na ONI i MY. MY byliśmy wspaniali: mądrzy, dobrzy, sprawiedliwi, zdolni do najwyższych poświęceń dla Ojczyzny, a ONI byli komunistami, którzy służyli obcemu mocarstwu (mniej lub bardziej lojalnie), wypełniali jego dyrektywy (mniej lub bardziej skrupulatnie) i kłamali, bez przerwy kłamali. ONI dla nas byli obcym ciałem, które rozpełzło się po naszym wycieńczonym drugą wojną światową organizmie, na skutek zdrady w Jańcu i klęski w Powstaniu Warszawskim, byli obcą władzą, która przyjechała na radzieckich czołgach.

Wcześniej ICH nie znałam. W mojej rodzinie nie było ani jednego komunisty, nikt nie należał do partii, a do mojego rodzinnego domu przychodzili wyłącznie kresowiaci z Wileńszczyzny, Wołynia czy z Odessy, którzy system sowiecki poznali w łagrach, na zesłaniach i podczas przesiedleń.

ONI mnie zaskoczyli. Poza **Stanisławem Radkiewiczem** i **Zenonem Kliszko** żaden nie odmówił spotkania ze mną. ONI chcieli rozmawiać i próbowali odpowiadać (mniej lub bardziej szczerze) na każde prawie pytanie. Rozmowy z nimi stały się dla mnie bezcennym źródłem wiedzy o człowieku. Że z człowiekiem można zrobić prawie wszystko, grając na najniższych ludzkich instynktach, odpowiednio wyzwalając w nim strach, próżność, nienawiść.

Po drugie: że najbardziej niszcząca człowieka i najgroźniejsza dla otoczenia jest jego fanatyczna wiara w ideę – jakąkolwiek – bo z jednej strony zawęży pole widzenia, a z drugiej – może stać się uzasadnieniem dla najcięższych zbrodni.

Po trzecie: w każdym człowieku tkwi potrzeba dążenia do normalności i w końcu, prędzej czy później, przychodzi chwila otrzeźwienia, moment powrotu do rzeczywistości, nawet gdy jest „nierzeczywista”.

„Moi” komuniści życiorysy mieli dość typowe dla działaczy budujących pod dyktando Moskwy zręby PRL-u. Do ruchu komunistycznego przystawali w wieku 14-15 lat. Bo do komunizmu – jak podsumował celnie, choć sarkastycznie **Jerzy Morawski**, były członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR, zaangażowany w październikową odwilż – prowadziły trzy drogi. Według Morawskiego jedna była ideowa: człowiek widzi, że jest źle, i chce to zmienić, radykalnie zmienić, jednym cięciem. Radykalne metody oferowali komuniści, więc zostawało się komunistą. Druga droga prowadziła przez czytanie książek przedstawiających gotowe rozwiązania. Komunistyczne propozycje naprawy świata, gdy się je studiowało, robiły wrażenie mądrych i głęboko logicznych, i jeśli człowiek niewiele wiedział o życiu, wydawały się bardzo atrakcyjne. A trzecią drogą, która może człowieka doprowadzić do radykalnych ruchów, faszystowskich czy komunistycznych, czyli takich, które reprezentują totalitarne cechy i stosują bezwzględne metody walki, może być fakt, że komuś nie powiodło się w życiu i chce się odkuć.

Prawie wszyscy „moi” komuniści siedzieli przed wojną w polskich więzieniach i byli represjonowani. Po rozwiązaniu przez Komintern Komunistycznej Partii Polski wielu doświadczyło sowieckich łagrów oraz straciło najbliższych w wielkiej czystce stalinowskiej z 1937 roku. Jednak po wybuchu drugiej wojny światowej to właśnie Związek Radziecki stał się dla nich jedynym miejscem w Europie, gdzie znaleźli szansę przeżycia.

Po 1944 roku ONI powrócili do Polski. Część z nich przyjechała ze Związku Radzieckiego okrutnie doświadczona w sowieckich łagrach lub w posiołkach na zsyłce, zastraszona oraz często złamana psychicznie i fizycznie. Mieli „wygarbowaną skórę”, jak określał ich **Edward Ochab**. Część – mimo strasznych przeżyć – nadal była naznaczona fanatyczną wiarą w komunizm i dla jego urealnienia zdolna posunąć się nawet do zbrodni. Część skutecznie wytłumaczyła sobie, że włączając się w budowę PRL-u, dokonała wyboru mniejszego zła i lepiej, że ten trud podjęli właśnie ONI, bo w ich miejsce przyszliby inni, czyli gorsi.

Większość moich rozmówców została odsunięta od władzy po październikowej odwilży w 1956 roku, na fali rozliczeń zbrodni stalinowskich, wszyscy zaś – oprócz Kłosiewicza – odeszli po 1968 roku.

Najpierw dotarłam do **Wiktora Kłosiewicza**. Tylko jego numer telefonu znajdował się zwyczajnie w książce telefonicznej. Przyjmował mnie w wielkim gabinecie w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych i proszony przeze mnie, chodził do Archiwum Historii Partii – przede mną zamkniętym – spisywać protokoły co ciekawszych fragmentów z plenów KC PZPR, wtedy dla zwykłych obywateli niedostępnych.

Potem poznałam **Leona Chajna**. Był wytwornym, kulturalnym panem. Przez to nie zapytałam go, dlaczego zgodził się wypełnić polecenie partii, by wejść do Stronnictwa Demokratycznego – stronnictwa o przedwojennych tradycjach – i działając od wewnątrz, rozbić je i podporządkować komunistom. Nie zapytałam ze wstydu, za niego. Kiedy wychodziłam z jego mieszkania po kolejnej rozmowie, nie wiedząc, że ostatniej, rzekłam mu: ani pan nie powiedział mi tego, co mógłby pan

powiedzieć, ani ja nie zapytałam pana o to, o co chciałam zapytać, bo nie umiałam pokonać dzielącej nas bariery, to moja wina.

– Nie – odpowiedział – to przeze mnie, jestem już nieobecny.

Nie zrozumiałam. Po kilku tygodniach dowiedziałam się, że leży w szpitalu i ma raka. Później były wielokrotne wyjazdy do lasu z Edwardem Ochabem. Stale obawiał się podsłuchów i wolał nie rozmawiać ze mną w swoim mieszkaniu. Pytał, czy dobrze pilnuję kaset magnetofonowych, bo nie chce, by znalazły się w „Wolnej Europie”, i od czasu do czasu wtrącał: tego nie powiem, bo ta wiedza mogłaby ci, córuś, zaszkodzić. Miał cztery córki, prawie w moim wieku, i był gotowy potraktować mnie jak kolejną. Nie potrafił powierzyć mi sekretów swojego życia. Wielokrotnie zadawałam mu te same pytania, nie uzyskując odpowiedzi. Tłumaczył: kiedyś historia się dowie, wyniosłem ważne dokumenty z KC i dobrze schowałem, są u znajomych, z którymi nie utrzymuję kontaktów.

Stefan Staszewski był człowiekiem, który lubił mówić i wywoływał we mnie ciągły niepokój, że mówi za dużo. Dla dziennikarza był rozmówcą idealnym, czującym dramaturgię wywiadu, który należy czasami – dla przyspieszenia akcji – podbudować celną puentą lub ubarwić zabawną anegdotą.

Obawiałam się, że potrzeba zabłyśnięcia przeważa w nim nad szacunkiem dla faktów. Szukałam potwierdzenia opisywanych przez niego scen w relacjach innych osób. Zgadzały się. Z jedną poprawką: przesadnie eksponował swoją osobę i często przypisywał sobie rolę, którą grali inni.

Jakub Berman przez wiele miesięcy odmawiał jakichkolwiek spotkań. Zgodził się na jedno dopiero wiosną 1982 roku, po mojej telefonicznej rozmowie z córką. Sądzę, że na jego decyzji zaważyła nie tylko namowa rodziny, ale także wprowadzony właśnie stan wojenny, którego początkowo nie akceptował. Poszłam do niego uzbrojona w maszynopis książki Krystyny Kerstenowej „Narodziny władzy”, wydrukowanej później przez podziemie. Przeczytał i oddał. To drugie spotkanie trwało kilkanaście

minut. I dopiero interwencja **Celiny Budzyńskiej** pomogła. Spotkała go w sanatorium i do mnie przekonała. Rozmawiałam z nim dwa lata. Gdy pytałam go o stosunki w sowieckim Politbiurze, mówił szeptem i przestrzegał, by taśmy z nagraniami nie wpadły w ręce SB. Uspokajałam go, że kasety mama chowa, jak Mandelsztamowa, w woreczkach z mąką, a maszynopisy zaszywa w materacach.

Celina Budzyńska była jedyną osobą, której przyznałam się, że muszę, po prostu muszę, wydać tę książkę w podziemiu. Była też jedyną osobą, która zapytała mnie, co z nią zrobię. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym ją oszukać. Działała w KOR, a w latach osiemdziesiątych w podziemnej „Solidarności”. Innych druk moich rozmów z nimi nie interesował.

Berman i **Kasman** mieli świadomość, że o swoim życiu i dylematach władzy opowiadają po raz ostatni (i po raz pierwszy w życiu) – dla historii, i tylko **Werfel**, siedmiokrotnie autoryzując swoje wypowiedzi, zastanawiał się, które nie spodobają się cenzurze, które można obronić, a które cenzura definitywnie skreśli. I kłócił się ze mną, by co nieco złagodzić.

Julia Mincowa o moich wizytach u siebie powiedziała kuzynce: przystali ją. Wieloletniej szefowej Polskiej Agencji Prasowej, która miała do czynienia z setkami dyspozycyjnych dziennikarzy, prawdopodobnie do głowy nie przyszło, że zwykły dziennikarz, przedstawiający się jako wyrzucony z redakcji za nieprawomyślność, może przyjść do niej sam z siebie, bez polecenia, i zadawać niecenzuralne – według niej – pytania. Siedziała całymi dniami na łóżku w szlafroku. Raz wstała, przeszliśmy do drugiego pokoju: brzydkie meble z początku lat pięćdziesiątych, na wysoki połysk, duży stół i ciężkie krzesła. Dreptała wokół stołu, dawno nie używanego. Była schorowaną, niedowidzącą, samotną kobietą. Ale prawdopodobnie uznała, że moje przyjsie jest okazją do podjęcia ostatniej gry z NKWD, KGB, UB i SB, i do końca była przekonana, że grę tę, chytrze prowadząc, wygrała.

Leon Kasman umarł nagle, na atak serca. Był człowiekiem ciężko doświadczonym przez los: jego dwie córki były poważnie chore. Starsza

umarła w zakładzie zamkniętym w czasie trwania naszych spotkań. Drugą wypuszczano ze szpitala na kilkudniowe przepustki. Chodził po pokoju wysoki, wyprostowany. Zanosił się kaszlem i „gnój”, powtarzał, „po co dożyłem takiego gnoju”. Nie zdążyłam zadać mu wszystkich pytań, nie zdążyłam wywiadu autoryzować. Widział tylko uporządkowany fragment opisujący jego przyjazd do Polski w 1944 roku jako wysłannika Kominternu. Reszta – ponad sto stron maszynopisu – wymagała skrupulatnego opracowania. Przez to rozmowa z nim nie ukazała się w pierwszych wydaniach ONYCH.

Pierwsze wydanie w Polsce ukazało się w 1985 roku w podziemnym wydawnictwie „Przedświt”. Dzięki nieżyjącemu już Jasiowi Gogaczowi, któremu dałam maszynopis, a on zatroszczył się, by trafił, gdzie trzeba, i przypilnował, by bez błędów został jak najbardziej atrakcyjnie wydrukowany w trudnych warunkach konspiracyjnych. Wstęp do ONYCH napisała Krystyna Kerstenowa, ukrywająca się pod pseudonimem Jan Bujnowski.

Pierwsze wydanie na Zachodzie ukazało się w polskim wydawnictwie „Aneks” w Londynie. Zostało rzetelnie przygotowane do druku przez Ninę Smolar. Wdzięczna jej jestem zwłaszcza za opracowanie indeksu nazwisk i rozszyfrowanie pseudonimów, była to tytaniczna praca. Książkę z „Aneksu” masowo przedrukowywano w kraju w drugim obiegu. Stała się też podstawą do kilkunastu wydań zagranicznych w trzynastu językach. W wielu krajach włączono ją do katalogów bibliotek publicznych i jest obowiązkową lekturą na studiach uniwersyteckich.

Obecne wydanie zostało wzbogacone kilkuset zdjęciami. Otrzymałam je od rodzin bohaterów książki i dawnych działaczy PRL-owskich. W sumie od prawie pięćdziesięciu osób.

Za udostępnienie zdjęć i pomoc w ich rozszyfrowywaniu, bo na większości nie było żadnych zapisków, kto jest kto, bardzo dziękuję zwłaszcza: Lucjanowi Motyce, Władysławie Piechockiej, Joannie Świąćickiej, Janinie Dudowej, Janowi Ptaśńskiemu, Witoldowi Lederowi, Włodzimierzowi

Zawadzkiemu, Marii Putrament, Władysławowi Matwinowi, Andrzejowi
Bieńkowskiemu, Stanisławowi Supruniukowi, Jerzemu Borejszy, Janowi
Chylińskiemu, Wandzie Lodze-Sowińskiej oraz rodzinie Romany Granas.

Celina Budzyńska



Celina Budzyńska urodziła się w 1908 r. w Warszawie, w rodzinie o bogatych tradycjach rewolucyjnych, zwłaszcza ze strony matki Michaliny, z domu Brun. Jedną jej ciotką – Helena, pisarka, była żoną Stanisława Bobińskiego – działacza SDKPiL, KPP i WKP(b), uczestnika Rewolucji Październikowej, zamordowanego w Wielkiej Czystce w Związku Radzieckim. Drugą ciotką – Rozalia, historyczka, wyszła za mąż za Szczepana Rybackiego – członka Zarządu Głównego SDKPiL, a następnie KC KPP, także wykończonego w ZSRR. Wuj – Julian Brun, działacz KPP, historyk, ale przede wszystkim dziennikarz, stał się dla PRL-owskiego dziennikarstwa symbolem zawodowych umiejętności i patronem najważniejszej nagrody dla młodych dziennikarzy. Julian Brun ożeniony był m.in. ze Stefanią Unszlicht, siostrą Józefa – działacza SDKPiL i WKP(b), jednego z organizatorów Armii Czerwonej, również zamordowanego w ZSRR.

Matka Celiny Budzyńskiej, malarka, związana była z SDKPiL, a ojciec Wacław Wlekiński działał w organizacji bojowej PPS, za co w roku 1905 został zesłany na Syberię. Matka pojechała za nim. Do Polski wrócili: matka w roku 1907, ojciec – w 1912.

Celina Budzyńska ukończyła gimnazjum Związku Nauczycielstwa Szkół Średnich w Warszawie i od roku 1923 (w wieku 15 lat) zaczęła działać w Komunistycznym Związku Młodzieży w Polsce. Aresztowana była 13 razy, ale tylko dwa razy spędziła w więzieniu po parę miesięcy. Za pierwszym razem wyszła po dwóch miesiącach pod dozór policji, za drugim – po 9 miesiącach za kaucją. Wtedy, w roku 1927, wyjechała do ZSRR. Ukończyła tam roczny Komunistyczny Uniwersytet Mniejszości Narodowych Zachodu i trzy lata studiowała w Wyższym Instytucie Pedagogicznym im. A. Hercena w Leningradzie.

Trzykrotnie wychodziła za mąż. Pierwszym i trzecim jej mężem był Zygmunt Trawiński – działacz KZMP i KPP, dyrektor radzieckiego sowchozu „Komsomolec”, drugim mężem (i ojcem jej dwóch córek) był Stanisław Budzyński – działacz SDKPiL, uczestnik Rewolucji Październikowej, członek kierownictwa KP(b) Białorusi. Aresztowano ich oboje w roku 1937, Stanisława zamordowano, a Celinę skazano na 8 lat obozu.

Zwolniona w roku 1945, wróciła do Polski, obejmując kierownicze stanowiska w szkołach dla aktywu partyjnego – Centralnej Szkole PPR i następnie PZPR oraz od roku 1957 w Wyższej Szkole Nauk Społecznych. W latach 1952-56 była także posłanką na sejm z okręgu skierniewickiego i członkiem KC PZPR. Na emeryturę przeszła w 1967 r. Współpracowała z KSS KOR i z ruchem „Solidarność”. Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 wystąpiła z partii. Umarła 1 lipca 1993 r. w wieku 83 lat.

Rozmowa przeprowadzona między kwietniem a lipcem 1992.

Oficjalna wersja pani życiorysu brzmi: jedna z działaczek Komunistycznego Związku Młodzieży, urodziła się w roku 1908 w Warszawie i dalej krótko – w latach 1927-1945 przebywała w ZSRR.

Przez wiele lat swój życiorys klepałam w ciągu 3 minut, żeby w nim zgubić właśnie te osiemnaście lat.

Czy może go już pani przedstawić – w całości?

Nie wiem, na co on komu, ale może powinnam. Proszę mi tylko nie przerywać.

W roku 1926, po 9-miesięcznym pobycie w więzieniu, wypuszczono mnie za kaucją. Groziła mi jednak sprawa sądowa i kierownictwo KZM-u uznało, że powinnam wyjechać z kraju. Mogłam jechać do Francji, jak proponował ojciec, kiedy jeszcze siedziałam w więzieniu, ale ja oczywiście, nie chciałam. Mogłam jechać gdziekolwiek, ale nie chciałam nigdzie. Pasjonowała mnie praca w kraju i zdecydowana byłam zostać nielegalnikiem. Kierownictwo organizacji postanowiło, że pojedę do Moskwy na studia. Obowiązywała dyscyplina partyjna i moje protesty nie zdałyby się na nic. Zresztą nie bardzo się też broniłam. W moim ówczesnym wyobrażeniu Związek Radziecki był ojczyzną proletariatu. Był

tym krajem, który emanuje na cały świat, za przykładem którego pójda inne, nie jako satelici – broń Boże, ale samodzielne kraje.

Najpierw na własnym paszporcie pojechałam do Gdańska. Potem kursowałam trochę między Gdańskiem a Berlinem, załatwiając partyjne sprawy, gdyż zagraniczne kierownictwo KPP znajdowało się w Berlinie. Następnie skierowano mnie do Moskwy.

Ostatnią rozmowę w Gdańsku przeprowadził ze mną Jerzy Ryng. Dał mi paszport na nazwisko Anny Antonowny Szyszkiewicz – Czeszki i powiedział, że w Königsbergu dogoni mnie starszy towarzysz, z którym dalej pojedę razem, więc będzie mi raźniej. Dogonił mnie rzeczywiście – Lucjan Maśliński, garbus, z bardzo powikłaną biografią. Legionista, kiedyś zapalony piłsudczyk, potem rozczarowany, podobnie jak oficerowie Bagiński, Wieczorkiewicz i inni. Odeszli z POW od Piłsudskiego i przyszli do partii.

Maśliński ze sprawy Bagińskiego i Wieczorkiewicza (fałszywie oskarżonych o zamach na cytadelę warszawską, w którym zginęło kilkadziesiąt osób) dostał 15 lat. Bardzo ciężko przeżywał więzienie, parę razy próbował popełnić samobójstwo, a potem – kiedy tamtych zastrzelił Muraszko, komendant posterunku polskiej policji na stacji granicznej, tuż przed ich wymianą na polskich więźniów politycznych skazanych przez sądy ZSRR i powstał wielki szum z protestami i demonstracjami robotniczymi – sąd uniewinnił Maślińskiego. Był chory, miał manię prześladowczą, że za dużo wie i polski wywiad nie wypuści go do Związku Radzieckiego. Podejrzewał, że go po drodze otrują, a jechaliśmy długo, przez kilka krajów. Herbatę pił, jak ja wypiałam wcześniej pół szklanki; kanapkę zjadł, kiedy odgryzłam z niej kawałek. Dopiero po przejechaniu radzieckiej granicy poczuł się bezpieczny i spokojny.

Przyjechaliliśmy na Dworzec Ryski w Moskwie chyba o piątej rano. Za wcześnie, by iść do jakiegoś urzędu. Poszliśmy więc do dworcowego budynku. To zresztą nie był budynek, ale jakaś buda. Koszmar. Ludzie pokotem leżą na podłodze, matki wyschniętą piersią karmią dzieci,

przewijają niemowlęta, tłum nędzarzy, pieluchy ufajdane, łachmany, smród. Maśliński wypatrzył jakiś kawałek miejsca na ławce, gdzie przycupnęłam zszokowana, a sam poszedł zdobywać jedzenie. To był NEP, więc jedzenie było.

Nagle gwizd, świst, wpada czereda diabłat, usmoleni, czarni, portki porwane, tutaj kawałek pupy sinej wyłazi, tam oberwana nogawka, tu widać chudą nogę w kaloszu. Jakbym w piekle się znalazła. Byli to bezprizorni, bezdomne dzieci, które na noc lokowały się w kotłach od asfaltu, bo były ciepłe, a rano – gdy asfalt ostygł – wpadały na dworzec trochę się ogrzać. Straszliwe widowisko.

W tym momencie wraca Lucjan i uroczyście wręcza mi dużą francuską bułkę z kawiozem. Pierwszy raz w życiu jadłam kawior, dławiałam się, tak mi nie smakował. Coś okropnego. Byłam zupełnie załamana.

Nie wyobrażałam sobie istnienia tak niesamowitych kontrastów. Z prasy KPP-owskiej wiedziałam o takich czy siakich osiągnięciach, o ogromnym zapale, entuzjazmie, ale jak jest w Związku Radzieckim naprawdę, o okrucieństwie rewolucji, o nędzy i głodzie nikt jakoś nie opowiadał. Miałam dwóch wujków w KC KPP, sama pracowałam w sekretariacie KC KZM, stykałam się z czołówką działaczy i nikt nic nie mówił. Może zresztą niewiele widzieli. Przyjeżdżali na jakieś zjazdy i natychmiast wyjeżdżali.

Z dworca pojechałam do sekcji polskiej Kominternu, a stamtąd do ciotki Heleny Bobińskiej, która razem z córką Celiną mieszkała na Kriwonikolskim, w domu, który nazywano w Moskwie „polskim Kremlem”. Przed wojną należał do Aleksandra Lednickiego, polskiego pośta w Dumie. Po jego wyjeździe do Polski władze przekazały go polskiemu stowarzyszeniu „Praca” i mieszkali w nim najpierw sami Polacy, potem – w większości. Była zima. Na podwórku spotkałam ciotkę i Stacha Budzyńskiego, mego przyszłego męża. Hela zabrała mnie do siebie i prywatność, jaką wytworzyła, rozładowała moje pierwsze okropne wrażenia z Moskwy.

Edward Ochab



Urodził się w 1906 roku w Krakowie, dokąd jego rodzice przenieśli się ze wsi Szówsko nad Sanem, w rodzinie wielodzietnej. Ojciec pracował jako urzędnik w biurze adresowym, matka była robotnicą rolną (przed małżeństwem). Umarła, podobnie jak dwoje z pięciorga rodzeństwa Ochaba, na gruźlicę, kiedy miał dwanaście lat. Przed wojną ukończył Akademię Handlową w Krakowie (odpowiednik powojennego liceum ekonomicznego), Studium Spółdzielcze na wydziale rolnym przy Uniwersytecie Jagiellońskim oraz jako ekstern studiował w Wyższym Studium Handlowym. Do partii komunistycznej wstąpił w 1929 roku, za swoją działalność był pięciokrotnie więziony, łącznie przesiedział ponad sześć lat. W chwili wybuchu drugiej wojny światowej znajdował się w więzieniu w Rawiczu (razem z Marcelim Nowotką, Marianem Buczkiem, Pawłem Finderem i Alfredem Lampem). Wojnę spędził w Związku Radzieckim. Po rozpoczęciu wojny radziecko-niemieckiej w 1941 roku zgłosił się jako ochotnik do Armii Czerwonej, do służby czynnej jednak go nie przyjęto, kierując do , formacji pomocniczej, między innymi kopiącej rowy obronne. Przebywał w Kijowie i Saratowie, żona z dziećmi w tym czasie była w Uzbekistanie, w kołchozie. Od chwili powstania polskiej 1. Dywizji Piechoty im. Kościuszki służył w wojsku, gdzie w czasie wojny dosłużył się stopnia podpułkownika. Od lata 1944 roku zajmował wiele stanowisk kierowniczych. Był kolejno: od lipca do sierpnia 1944 pełnomocnikiem Rady Wojennej 1. Armii WP; w 1945 – ministrem administracji publicznej w PKWN; w 1945-1946 członkiem Sekretariatu KC PPR (razem z Władysławem Bieńkowskim i Zenonem Kliszką); od 1946 do maja 1948 – pierwszym sekretarzem PPR w Katowicach; od czerwca do listopada 1948 – przewodniczącym Centralnego Związku Spółdzielczości (po nim nastął Oskar Lange); w 1949 – przewodniczącym CRZZ (po nim mianowano Aleksandra Zawadzkiego, a rok później Wiktora Kłosiewicza); 1949-1950 – pierwszym wiceministrem obrony narodowej i szefem Zarządu Głównego WP (w miejsce zdjętego, a następnie aresztowanego Mariana Spychalskiego), wtedy nadano mu stopień generała; 1950-1956 – sekretarzem KC PZPR; od marca do października 1956 – pierwszym sekretarzem KC PZPR; 1957-1959 – ministrem rolnictwa; 1956-1964 – sekretarzem KC PZPR; 1961-1964 – zastępcą przewodniczącego Rady Państwa oraz 1964-1968 – przewodniczącym Rady Państwa i 1965-1968 – przewodniczącym Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Oprócz tych stanowisk Edward Ochab był od 1944 roku członkiem KC partii oraz posłem na sejm (do 1969). Ze wszystkich

stanowisk ustąpił w 1968 roku, protestując w ten sposób przeciw kampanii antysemitkiej rozpętanej przez Władysława Gomułkę i Mieczysława Moczara. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat przeszedł na emeryturę. Zmarł w roku 1989.

Cztery córki. Najstarsza jest chemikiem-informatykiem oraz jako jedyna z rodzeństwa była członkiem partii. Młodsze córki to inżynier elektryk, romanistka i dziennikarka; sympatyzowały z opozycją. Żona była komunistką, członkiem partii, ale nie zajmowała w PRL żadnych stanowisk.

Zapis rozmów odbytych między majem a październikiem 1981.

Co pani nazywa okresem stalinowskim?

Lata 1948-1955.

Uważam taki podział za bezpodstawny, a nawet nielogiczny. Odrzucam podział na dwa etapy, stalinowski i poprzedni, bo z tego by wynikało, że przedtem, kiedy tworzyły się załóżki władzy ludowej, wpływ metod aparatu stalinowskiego czy osobiście Stalina był mniejszy.

A nie był?

Był większy.

Większy?

Oczywiście, że większy. A któż na przykład wywoził z Polski tysiące ludzi?!

Jak to tysiące? Wiem tylko o „szesnastu”, między innymi o Okulickim, Pajdaku, Pużaku.

To jeszcze pół biedy, ale wywożono – z tego, co wiem – tysiące ludzi podejrzanych, często pochopnie, o powiązania z londyńskim podziemiem, niefrasobliwie organizujących dywersję na liniach komunikacyjnych milionowych armii radzieckich.

Nie mogliście zaprotestować?

Protestować trzeba było przede wszystkim przeciw awanturnikom z Londynu, którzy pchali naszą młodzież do walki z polską władzą ludową i Armią Czerwoną wyzwalamąca ziemie Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Jugosławii. Toczyła się walka na śmierć i życie o rozgromienie faszystów, o nowe oblicze Europy. W tej walce zginęły miliony Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Gruzinów, Żydów, Tatarów i synów innych narodów radzieckich.

Ale przeciw wywózkom nie mogliście protestować?

Jak? Wypowiedzieć wojnę? Zresztą wojna już była. Toczyła się walka o to, czym ma być ta Europa. Oni mieli tu swoje linie komunikacyjne, milionowe armie i nie wiedzieli, czy Zachód nie spróbuje uderzyć na Związek Radziecki. Musieli więc mieć tu wszystko jako tako zabezpieczone.

To rozumiem, tylko co wy, co wy na to?

Byłem członkiem KC PPR od sierpnia 1944 roku, kilkunastu towarzyszy – siedemnastu lub osiemnastu – należało do KC w okresie przed I zjazdem partii. Z ówczesnego składu KC żyje jeszcze pięciu towarzyszy. Decyzje zaś musieliśmy podejmować w jeszcze węższym gronie – pięciu, sześciu osób. Decyzje były trudne, bo wiele spraw nie było wytworzonych przy naszym udziale. Pracowałem, podobnie jak wszyscy członkowie KC i [PKWN](#), nad rozwiązywaniem najpilniejszych problemów politycznych, militarnych, ekonomicznych i społecznych – narzuconych nam przez ówczesną sytuację krajową i międzynarodową.

Przede wszystkim – musieliśmy zajmować się sprawą rozbudowy naszych ludowych sił zbrojnych, aby zwiększyć polski wkład w zwycięstwo nad Trzecią Rzeszą i umocnić nasze moralne prawo do powrotu nad Odrę i na Pomorze Zachodnie. Nie rozwiązalibyśmy tego zagadnienia bez wszechstronnej pomocy Związku Radzieckiego.

Po wtóre – musieliśmy wyęźać siły, aby zapewnić zaopatrzenie wojska i ludności miast choćby w skromne racje żywnościowe, a nie dopuścić do bezplanowego, często bezprawnego ściągania kontyngentów z gospodarki chłopskiej.

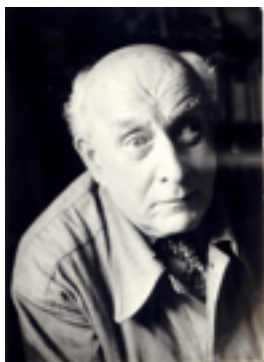
Po trzecie – trzeba było budować od podstaw nową, ludową administrację państwową, śmiało wysuwając na kierownicze stanowiska przodujących robotników i chłopów oraz oficerów z aparatu politycznego I. Armii.

Po czwarte – zapoczątkowaliśmy radykalną reformę rolną i przejmowanie fabryk pod kontrolę robotników.

Po piąte – nie szczędziliśmy wysiłków, aby rozszerzyć bazę polityczną PKWN, przyciągając na warunkach partnerstwa wczorajszych WRN-owców, ludowców, demokratów i bezpartyjnych. Mimo nie najlepszych doświadczeń z terenu Wołynia, Wileńszczyzny i Galicji Wschodniej, gdzie zresztą nie mieliśmy wpływu na działalność radzieckich organów bezpieczeństwa, uporczywie pracowaliśmy nad pozyskiwaniem najbardziej dalekowzroczej kadry Armii Krajowej dla idei nowej ludowej Polski, powracającej na stare ziemie piastowskie na podstawie sojuszu ze Związkiem Radzieckim, co stwarzało nowe, ogromne perspektywy rozwoju polskiego państwa. Rząd londyński pchał AK w sytuację niemal bez wyjścia. Często tragiczny był los tych tysięcy akowców, którzy przez lata mężnie walczyli przeciw okupantowi hitlerowskiemu, a na progu pełnego zwycięstwa Polski i koalicji antyhitlerowskiej dali się zepchnąć na pozycje antyludowe i antyradzieckie.

Wiele dokumentów świadczy o stosunku PKWN do AK. Wspomnę choćby o odezwie Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego skierowanej do żołnierzy i oficerów AK, wydanej – o ile pamiętam – w końcu sierpnia 1944 roku. Wytycznymi tej odezwy, gwarantującej żołnierzom i oficerom AK honorowanie ich stopni i odznaczeń wojskowych, kierowaliśmy się w pracy dowództwa i aparatu politycznego I. Armii, w każdym razie w okresie walk o Pragę i przyczółki warszawskie.

Roman Werfel



Urodził się w 1906 roku we Lwowie, w rodzinie mieszczańskiej, ojciec był adwokatem, matka nie pracowała, jedyny – starszy – brat został bankowcem. Do ruchu komunistycznego przystał w gimnazjum jako piętnastoletni chłopiec. Rok później był już jednym z sekretarzy Komitetu Miejskiego Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (do 1930 roku Związek Młodzieży Komunistycznej w Polsce), a dwa lata potem, w 1923 roku, członkiem KPP (do 1925 roku działała pod nazwą Komunistyczna Partia Robotnicza Polski). W tym samym roku został aresztowany, wyszedł z więzienia za kaucją i wyjechał do Wiednia na studia.

W 1928 roku odwołano go do Polski i skierowano do pracy w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (autonomiczna organizacja KPP). Był sekretarzem KZMP w Stanisławowie, a następnie pracował w „technice” partyjnej w Krakowie. Stąd wyjechał na rok do Berlina, gdzie pełnił funkcję łącznika. Po powrocie w 1931 roku został sekretarzem Komitetu Okręgowego w Stanisławowie i wkrótce potem aresztowano go ponownie. Siedział w więzieniu do 1935 roku. W następnym roku wykluczono go z KPP.

W 1939 roku po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną został redaktorem komunistycznego „Czerwonego Sztandaru” i współpracownikiem „Nowych Widnokręgów”, jedynych pism wychodzących we Lwowie w języku polskim, oraz członkiem WKP(b). Po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej ewakuował się do Azji Środkowej i po krótkim tam pobycie został wezwany do Moskwy. W maju 1942 roku powołano go na redaktora reaktywowanego pisma „Nowe Widnokreگی”, którego redaktorem naczelnym była Wanda Wasilewska, a pracowali w nim między innymi Alfred Lampe, Stefan Jędrzychowski, Jerzy Putrament, Helena Usijewicz (córka Feliksa Kona) i Janina Broniewska.

Po przyjeździe do Polski (do Lublina w lipcu 1944 roku) stał się Werfel czołowym ideologiem partyjnym. Pracował kolejno jako redaktor naczelny „Głosu Ludu”, dyrektor partyjnego wydawnictwa „Książka i Wiedza” (od 1948 roku, czyli od połączenia dwóch – „Książki” i „Wiedzy”) oraz redaktor naczelny organu KC PZPR „Nowe Drogi” (od stycznia 1952 do 1959). W marcu 1956 roku został ponadto (na dwa miesiące) redaktorem naczelnym „Trybuny Ludu”, zastępując na tym stanowisku Władysława Matwina (po nim nastali: na miesiąc – Jerzy Morawski, na

trzy – Walenty Titkow, na następnych kilka miesięcy znowu Matwin, a w 1957 roku powróciła „normalizacja” i na naczelnego redaktora „Trybuny Ludu” powołano ponownie Leona Kasmana, który pełnił tę funkcję od powstania gazety do 1953 roku).

W 1959 roku Romana Werfla skierowano na stanowisko sekretarza propagandy Komitetu Wojewódzkiego we Wrocławiu, a w 1963 na dyrektora Zakładu Historii Stosunków Polsko-Radzieckich PAN. W 1968 roku został usunięty z partii i przeszedł na emeryturę. Jego córka i żona opuściły Polskę. Żona (sympatyk KOR-u i „Solidarności”) ostatnie lata życia spędziła w Wiedniu. Córka mieszka w Anglii, jest z zawodu biochemikiem, ale pracuje w opiece społecznej i zajmuje się tak zwaną trudną młodzieżą.

W 1983 roku, po piętnastoletnich staraniach, Romana Werfla przyjęto ponownie w szeregi PZPR. Umarł w 2003 roku w Wielkiej Brytanii u córki.

Rozmowa prowadzona między czerwcem a listopadem 1982.

W Austrii ma pan żonę, w Anglii – córkę, a w Warszawie – jeden pokój zarzucony książkami, z którego wchodzi się do łazienki, i mały przedpokój z wnęką kuchenną. Myślę, że ojciec pana, solidny lwowski adwokat, inną przyszłość panu planował.

On tak, ale ja nie.

A kim pan chciał być?

Tym, kim zostałem: zawodowym rewolucjonistą. Jeszcze w gimnazjum przeczytałem Lenina „Co robić” – nie pamiętam, w oryginale czy w streszczeniu – gdzie Lenin wysunął tezę, iż do zwycięstwa socjalistycznej rewolucji potrzebne są kadry „zawodowych rewolucjonistów”. Zdolne, gdy zajdzie potrzeba, miesiącami czołgać się w kanałach i które, jak to ujął, zajmą się organizowaniem mas. Wtedy powiedziałem sobie: to ja. I nie żałuję.

A rodzina?

U mnie w domu – widzi pani – kultywowano podwójną tradycję. Jedną mieszczańską, że rano idzie się do pracy, a wieczorem do kawiarni pogadać z lekarzami, adwokatami, profesorami; i drugą – buntowniczą. U ojca w adwokackim gabinecie wisiał obraz pięknego pana w szlacheckim kontuszu, dziadka mojej matki, który ponoć w rządzie Traugutta piastował jakąś funkcję w departamencie skarbu, za co zamknięto go w Cytadeli warszawskiej, gdzie nabawił się gruźlicy i zmarł. Jego synowie zaś – mimo że zajęli się interesami, a jakże, portret zachowali.

Na wszelki wypadek?

Nie tylko [*śmiech*] i nie przede wszystkim. Było to pokolenie popowstaniowe, pozytywistyczne. Robiło się interesy, ale sentyment dla Rzeckich się zachowywało. Moja matka była bardzo dumna ze swego dziadka, o wiele bardziej niż z zamożnej i zajętej interesami reszty rodziny.

Ojciec mego ojca też był dziwną figurą, po nim miałem drugie imię, Karol, z żydowskiego Chaim. Do czterdziestego roku życia był zamożnym rabinem, potem doszedł do przekonania, że cała ta religia i Bóg są oszustwem, szwindlem po prostu, został ateistą i zajął się bankierstwem. Na dobre mu ono nie wyszło, bo dużo stracił. Tracił, tracił, ale coś mu jednak zostało. Także ogromna biblioteka światowej klasyki po niemiecku, która – niestety – w czasie drugiej wojny spłonęła. Mój ojciec, pamiętam, ze zgorszeniem opowiadał, że dziadek, kiedy leżał ciężko chory na raka, w pewnym momencie westchnął: „, bo w domu mówił po niemiecku.

Ojciec się zdziwił:

– Znowu uwierzyłeś w Boga?

A dziadek:

– A co? Mam powiedzieć: „aj waj mir” [w jidysz „biada mi”]? Przecież ładniej brzmi: „Gott, Gott, Gott”.

Ojciec zawsze mawiał, że ja jestem dla niego karą za grzechy mego dziadka. Miał bowiem typowo prawniczy umysł, wzdychał do końca życia za cesarzem Franciszkiem Józefem. Mieszkaliśmy w dobrej dzielnicy naprzeciw „Ossolineum”, a u mnie zaczęło się od bezbożnictwa. Rodzina była bowiem wprawdzie spolonizowana, ale religijnie -luźno żydowska, czyli do templu chodziło się cztery razy do roku, bo tak wypadało, tak wypadało!

Do templu? A co to?

„Zreformowana” świątynia żydowska dla oświeconej inteligencji, gdzie mówiło się po polsku, a nie, jak w bóżnicy, w jidysz.

Pierwszą drakę zrobiłem w czwartej czy piątej klasie gimnazjum. Ojciec zabrał mnie na święto żydowskie, a u Żydów jest zwyczaj, że wywołuje się młodych chłopaków, by podczas nabożeństwa siedzieli i trzymali Torę. Wybrano mnie. Byłem już wojującym ateistą i rozumie pani – nie mogłem się wygłupiać. Powiedziałem ojcu: tato, jak ty mnie za pięć minut od tej Tory nie uwolnisz, to ja ją o ziemię rzucę. Ojciec był strasznie wściekły, poszedł i wytłumaczył, że jestem niezdrów. Popatrzone na mnie z pogardą, wybrano drugiego i ojciec do templu więcej mnie już nie brał.

Drugą drakę urządziłem podczas innego święta żydowskiego. Do szkoły zamiast samej macy, jak nakazywała tradycja, przyniosłem kanapkę: dwie mace, a w środku szynka. Wszyscy Żydzi z klasy rzucili się na mnie. Wyszedłem z wybitym zębem, ale im też nieźle przyłożyłem.

Zacząłem się interesować historią, co mi zostało do dzisiaj i co przydało mi się później, kiedy zostałem publicystą lwowskich i kujbyszewskich „Nowych Widnokręgów”, w których pisywałem głównie na tematy historyczne, a zwłaszcza o polskim wieku XIX. Duża w tym zasługa mego genialnego profesora z gimnazjum, Karola Sochaniewicza, który wprawdzie wykładał zwykle lekko na bańce, ale jak wykładał!

Stefan Staszewski



Urodził się w 1906 roku w Warszawie. Ojciec był handlowcem, matka nie pracowała. Oboje zginęli, prawdopodobnie w 1943 roku w Treblince, hitlerowskim obozie zagłady. Z obojga starszego rodzeństwa nie żyje też brat, który był komunistą i został zamordowany w ZSRR w 1937 roku w okresie Wielkiej Czystki.

Stefan Staszewski ukończył warszawskie gimnazjum i rozpoczął studia na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W ruch komunistyczny zaangażował się jeszcze w gimnazjum jako czternastoletni chłopiec. Rok później, czyli w 1921 roku, był już członkiem Związku Młodzieży Komunistycznej w Polsce (od 1930 roku Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej), a w wieku dziewiętnastu lat – szefem kolportażu. Aresztowany i następnie zwolniony za kaucją, wyjechał w 1926 roku na trzy lata do Związku Radzieckiego, by podjąć naukę (między innymi razem z Bolesławem Bierutem) w „Leninówce” – Międzynarodowej Wyższej Szkole Leninowskiej przy Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki Komunistycznej.

Do Polski wrócił jako funkcjonariusz partyjny. Działał w Zagłębiu, na Śląsku i w Łodzi, przez rok był pierwszym sekretarzem KC KZM Zachodniej Ukrainy, następnie członkiem Sekretariatu KZMP (razem z Romanem Zambrowskim i Jasnym-Zawadzkiem). Aresztowany i ponownie zwolniony za kaucją, wyjechał w 1934 roku do Związku Radzieckiego, gdzie został wykładowcą historii ruchu robotniczego w niemieckiej sekcji „Leninówki”. W 1936 roku, po weryfikacji członków partii, odebrano mu legitymację partyjną, zwolniono z pracy i usunięto z mieszkania. Aresztowano dwa lata później i skazano na osiem lat obozu pracy. Znalazł się na Kołymie, w rejonie najstraszniejszych obozów sowieckich.

Zwolniony w 1945 roku, wrócił do Polski. Był kolejno: sekretarzem propagandy Komitetu Wojewódzkiego PPR w Katowicach, redaktorem naczelnym „Trybuny Robotniczej” w Katowicach, kierownikiem i zastępcą kierownika wydziału prasy i wydawnictw KC PPR (do grudnia 1948) oraz PZPR (do stycznia 1954), wiceministrem rolnictwa (do września 1955), pierwszym sekretarzem Komitetu Warszawskiego (do lutego 1957), naczelnym redaktorem Polskiej Agencji Prasowej (do 1958).

Przez następne dziesięć lat pracował jako redaktor w Państwowym Wydawnictwie Naukowym. W 1968 roku wykluczony z partii (po wcześniejszym wystąpieniu),

przeszedł na emeryturę. Sympatyk Komitetu Obrony Robotników i „Solidarności”. Umarł w 1989 roku. Żona Anna Danuta była graficzką. Jest autorką linorytu „Matka Boska Katyńska”, wykonanego w 1971 roku.

Rozmowy prowadzone na przestrzeni roku 1982.

Kim pan właściwie jest?

Politykiem. Homo politicus, który żyje i wyżywa się w polityce jako sztuce, kunszcie, zawodzie.

A choć dobrym był pan?

Nie tylko byłem, ale wydaje mi się, że jestem i pozostanę już nim do końca. Polityka to bowiem sposób myślenia o rzeczywistości. Umiejętność – chyba wrodzona – poddawania analizie zachodzących wydarzeń, rozumienia kierunku, w jakim się one toczą, i sił, które taki, a nie inny trend im nadają, oraz zdolność konstruowania rozwiązań poszczególnych sytuacji i przewidzenia skutków, jakie za sobą one pociągną. By temu sprostać, potrzebne są rozum, wiedza i wyobraźnia polityczna. Cechy te – moim zdaniem – są ważniejsze od doświadczenia i przygotowania teoretycznego.

Politykiem, choć ograniczonym, był Gomułka. Politykiem bardzo dobrym, z wyobraźnią polityczną, był Zambrowski, a także Minc, i na nich listę polityków powojennych z komunistycznego kręgu byśmy zamknęli.

Lepsi byli od pana?

Lampe był niewątpliwie lepszy. Szalenie zdolny, inteligentny, dużo umiał i wiedział, z ogromnym instynktem politycznym, dla szerszego ogółu prawie w ogóle przez długie lata nieznany, gdyż jego rękopisy w strachu przed zniszczeniem wdowa po Fredku Lampem schowała głęboko. Wielu próbowało je wykraść czy wydobyć sposobem – Jurek Borejsza, Antek

Wolski-Piwowarczyk, ale na szczęście im się nie udało, dzięki czemu przynajmniej część wydrukowano po 1956 roku.

Lampe był dla mnie wzorem. Jednego z pewnością się od niego nauczyłem, że nie można rzeczywistości naginać do własnych koncepcji, a wręcz przeciwnie, należy ją doceniać, dzięki czemu byłem mniej doktrynerski niż wielu innych.

Taki – według Henryka Voglera [„Autoportret z pamięci”]:
„Wysoki, o sztywnej postawie, jasnej, rzadkiej, gładko przyczesanej fryzurze z przedziałkiem, małomówny, ze stałym, jakby przyklejonym do warg cynicznym uśmieszkiem, który budził wśród podwładnych strach i niepokój. Nazywano go «blonde Bestie», gdyż jego zimne zdecydowanie kryło w sobie coś z bezwzględności i brutalności germańskiego wodza...”

I taki – według Leszka Krzemienia [„Kropla w potoku”]: *„Dużo gadał i komenderował... potrafił wymigiwać się od niebezpiecznej pracy i piąć się po szczeblach kariery partyjnej... Duch wielkopański, pogarda do prostych ludzi, władcze maniery czyniły go odrażającym... Pomyślałem sobie: ten syn wielkiego kupca był i pozostał duchowo burżujem, który robi w ruchu robotniczym...”*

Bzdury! Proszę porównać mnie z innymi. Z takim Mincem na przykład. Był człowiekiem dużej miary o nieprzeciętnym aparacie myślowym. Jednak wszystkie jego wielkie koncepcje były fałszywe, ponieważ pochodziły ze złego źródła – leninowsko-stalinowskiego marksizmu, a zabrakło mu wyobraźni, by zrozumieć, że nie tylko on zmienia świat, ale i świat się zmienia bez jego udziału. System poglądów Minca – na sprawy ekonomiczne przede wszystkim, bo one były głównym przedmiotem jego zainteresowań i działań – przez lata pozostał w zasadzie taki, jaki był dwadzieścia czy trzydzieści lat wcześniej, i nie zmienił się, choć następowały coraz to nowe znamienne wydarzenia. One na Minca jakby zupełnie nie oddziaływały. I nie dlatego, że był mało elastyczny, to nie ma

nic wspólnego z elastycznością, bo elastyczność zakłada pewną koniunkturalność, a Minc koniunkturalny nie był, a raczej – rzekłbym – zatrzymany w rozwoju w momencie uformowania się.

Człowiek mądry, z wyobraźnią i z wyczuciem rzeczywistości, kiedy praktyka czy, ogólnie mówiąc, życie nie potwierdza wyznawanego poglądu, zaczyna zastanawiać się, co tu nie gra i dlaczego nie gra. Minc był nie tylko najmniej skłonny do takiej rewizji, ale w ogóle do niej niezdolny.

Zambrowski – bardziej. Przyjaźniliśmy się z Romanem bardzo długo, potem nasze drogi się rozeszły i już nie spotkały, choć szlak, jaki on przebył, podobnie długi był jak u mnie, i ewolucja, jakiej uległ, prawie tak samo głęboka. Pozostały jednak między nami obszary, po których ja poruszałem się już swobodnie, a on nie chciał albo nie potrafił na nie wstąpić.

Spotykaliśmy się czasami, na ulicy, na spacerze, zawsze przypadkowo i z kilku zdań, które zamienialiśmy, zauważałem, jak bardzo dużo rozumiał, jak zmieniała mu się świadomość, jak innym stał się człowiekiem. Skrępowany był jednak typowymi dla komunisty ograniczeniami, nie potrafił przestąpić... Rubikonu i powiedzieć sobie: nie jestem komunistą, mój program, który wyznawałem, nie sprawdził się i już nie sprawdzi.

Mogę sobie pochlebić, że ja nie bałem się przestąpić tego Rubikonu, wiedząc o wszystkich implikacjach i konsekwencjach swego kroku. Może wynikało to trochę z mego charakteru, może z wyobraźni, jaką posiadam, w każdym razie powiedziałem sobie w którymś momencie: nie jestem komunistą.

W którym?

Nie było decydującego, ale przełomowe.

One złożyły się na cały proces odchodzenia od komunizmu. Moje wystąpienie na naradzie listopadowej w 1954 roku wyraźnie to już sygnalizuje. Powiedziałem wtedy bowiem, że stały się rzeczy dla komunisty nie do pomyślenia, straszne, bo myśmy szli do partii z myślą, iż stworzymy najpełniejszą demokrację, najlepszy ustrój, zrealizujemy naprawdę wielką

Wiktor Kłosiewicz



Urodził się w 1917 roku w Warszawie, w wielodzietnej rodzinie robotniczej. Ojciec był murarzem, matka – krawcową. Wiktor Kłosiewicz także został murarzem. Do KPP wstąpił w 1928 roku, za swoją działalność był więziony przez cztery lata. W 1938 roku zagrożony aresztowaniem wyemigrował do Francji, tam zastała go wojna, trafił do stalagu jako jeńiec francuski. W 1945 roku wrócił do Polski i natychmiast został skierowany na stanowisko pełniące obowiązki pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PPR w Krakowie, a w roku następnym na pierwszego sekretarza KW PPR w Szczecinie. W latach 1948-1950 był zastępcą członka KC PZPR, a od 1950 roku – członkiem KC (do 1958). W roku 1950 został także przewodniczącym Centralnej Rady Związków Zawodowych (do 1956) i członkiem Biura Organizacyjnego KC (do 1954). W latach 1946-1959 był posłem do KRN i sejmu oraz dodatkowo w latach 1952-1956 członkiem Rady Państwa. Po 1956 roku pełnił następujące funkcje: wiceministra pracy i opieki społecznej (1957-1958), naczelnego dyrektora Centrali Handlu Zagranicznego „Marko” (1958-1971) i wiceministra pracy, płac i spraw socjalnych (1971-1976). W 1976 roku przeszedł na emeryturę, jednak nadal zajmował stanowisko wiceprzewodniczącego Rady Nadzorczej Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Zmarł w roku 1992. Syn jest inżynierem rolnikiem, był członkiem PZPR, piastował stanowiska kierownicze.

Rozmowa prowadzona w styczniu 1981.

Jak się pan teraz czuje? W 1956 roku, czyli dwadzieścia pięć lat temu, zdjęto pana ze stanowiska przewodniczącego CRZZ, a pod koniec sierpnia 1980 roku pan się z kolei przysłużył do usunięcia przewodniczącego Jana Szydłaka.

Tak w życiu bywa.

Więc jak pan to zrobił?

Byłem pewny, że Szydłak sam poda się do dymisji, usunęli go przecież z Biura Politycznego. Przyszedłem na plenum CRZZ i czekam. Wiedziałem, że przedtem były jakieś targi, telefon od Gierka. Plenum miało się zacząć o dziesiątej. Siedzimy, czekamy. Po dwudziestu minutach przychodzi towarzysz Grad, sekretarz Rady, i bardzo przeprasza, ale prezydium chce plenum przekształcić w naradę. Powiedziałem Gradowi:

– Idź tam i powiedz komu trzeba, że prezydium może z siebie robić idiotów, ale plenum się nie da.

Od razu przecież wiedziałem, o co chodzi: na naradzie nie można wprowadzać zmian personalnych. Wreszcie zaczęło się plenum. Przychodzi Szydłak i czyta porządek dzienny, nie widzę w nim punktu „sprawy organizacyjne”. Podnoszę rękę.

– Mam wniosek – mówię. – Proponuję wstawić punkt „sprawy organizacyjne”.

Słyszę, że powinienem go uzasadnić, więc idę na trybunę i uzasadniam:

– Towarzysz Szydłak nie może być dalej przewodniczącym CRZZ, ponieważ KC wyraziło mu wotum nieufności.

Powiedział pan to tak sam z siebie?

Oczywiście, zawsze występowałem samodzielnie i z nikim się wcześniej nie umawiałem.

Szkoda, że nie zrobił pan tego wcześniej. W tym momencie nie miało to już praktycznego znaczenia. Centralna Rada Związków Zawodowych i tak umierała.

I umarła. Byłem na pogrzebie. Wstałem i postawiłem wniosek: – Dla uczczenia tego historycznego dnia likwidacji CRZZ proponuję, aby z funduszy CRZZ ustawić w holu trzy postumenty: Gierka, Kruczka i Jagielskiego z napisem: likwidatorzy i rozbijacze ruchu związkowego.

Dowcipny jest pan. I co, uchwalili?

Przewodniczący potrafił się znaleźć i powiedział:

– Wniosek towarzysza Kłosiewicza jest takiego formatu, że chyba nie będziemy go głosować.

Ale dlaczego wymienił pan nazwisko Jagielskiego?

Za „Solidarność”, czyli za przyczynienie się do rozbitcia ruchu związkowego.

Nie rozumiem, to w „Solidarności” nie widzi pan szansy odnowy tego ruchu?

Nie bardzo.

Dlaczego? Czyżby strajk Wałęsy się panu nie podobał?

Oczywiście, że się podobał, ponieważ był on wyrazem protestu klasy robotniczej przeciwko błędom popełnionym przez ekipę Gierka. Należy jednak słuszną sprawę protestu klasy robotniczej oddzielić od utworzenia „Solidarności”. Zresztą taki strajk łatwo było zorganizować, zależy on przecież od warunków, jakie się stworzy. Tu były idealne.

Czyli jakie?

Idealne warunki są wtedy, gdy władza stworzy taki kryzys, który zjednoczy wszystkich. My takich przed wojną nie mieliśmy.

Rozumiem, że w KPP mieliście gorsze. Od kiedy był pan w KPP?

Od 1928 roku do rozwiązania, to jest do 1938. Za działalność w partii przebywałem cztery lata w więzieniu. Zaczynałem jako robotnik budowlany w Warszawie, a potem pełniłem szereg funkcji partyjnych, także w Poznaniu, na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim.

Przeżył pan rozwiązanie KPP

Przeżyłem. Byłem w tym czasie na okręgu zagłębiowskim, konkretnie sekretarzem Zagłębia. Gdzieś w listopadzie przyjechali towarzysze z Francji i powiedzieli nam, że KPP została rozwiązana. Nie chcieliśmy wierzyć, byliśmy zaskoczeni.

Przecież pisano o tym w polskich gazetach.

No, pisano, ale nikt nie wierzył... Pamiętam, że sprawę procesów moskiewskich postawiłem na Sekretariacie partii. Pytałem towarzyszy, jak to wygląda. Nie wiedzieli, bo nie mieliśmy już kontaktu z kierownictwem KPP. Zapropnowałem wtedy, żeby pojechać i wyjaśnić sprawę.

Dokąd pojechać? Do Moskwy!?

No tak, przecież nikt nie przypuszczał, że tam mogą zachodzić takie omyłki.

Trudno wprost uwierzyć, przecież pan wielu skazanych znał.

Znałem. W okresie stalinowskim też znałem, ale jak ktoś przychodził do mnie i mówił: Bezpieczeństwo aresztowało tego czy tamtego, to myślałem – winien. Do Bezpieczeństwa przecież posyłałiśmy najlepszych ludzi, jakich mieliśmy. Przede wszystkim z Czerwonego Zagłębia. Nie podejrzewałem więc, że w tym Bezpieczeństwie mogły nastąpić jakieś wypaczenia.

W niewinność więc towarzyszy z KPP pan nie wierzył?

Nie bardzo. W 1938 roku groził mi wyrok, nie było partii. Miałem do wyboru: albo iść do więzienia – a przykro siedzieć, jak się wie, że nie ma partii – albo zdecydować się na emigrację. Różnymi drogami wywędrowałem do Francji.

Wojna zastała mnie w Paryżu. Zgłosiłem się. Ochotnicy otrzymywali wtedy francuskie dokumenty, które bardzo się przydawały do chodzenia po mieście, bo Polska jeszcze nie cieszyła się powszechną sympatią i Polaka,

Leon Chajn



Urodził się w roku 1910 w Warszawie. Ojciec był buchalterem, matka nie pracowała. Najbliższa rodzina zginęła w czasie okupacji hitlerowskiej. Leon Chajn ukończył wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego, został aplikantem adwokackim i prezesem lewicowego Zrzeszenia Związków Aplikantów Sądowych i Adwokackich

w Warszawie. Z ruchem socjalistycznym i komunistycznym związał się jeszcze w czasach studenckich, najpierw działał w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, potem w Organizacji Młodzieży Socjalistycznej „Życie”. W czasie drugiej wojny światowej znalazł się w Związku Radzieckim. Od 1943 roku był członkiem władz naczelnych Związku Patriotów Polskich i oficerem politycznym 1. Armii Wojska Polskiego w ZSRR. W 1945 roku skierowany przez PPR do Stronnictwa Demokratycznego został jego sekretarzem generalnym. Funkcję tę pełnił do 1961 roku, w następnej kadencji został wiceprzewodniczącym SD (do 1965). Tymczasem był wiceministrem sprawiedliwości (1944-1949), wiceprezesem Najwyższej Izby Kontroli (do 1953), wiceministrem pracy i opieki społecznej (do 1957). Dodatkowo: posłem do KRN-u i sejmu (1944-1969) oraz członkiem Rady Państwa (1957-1965). Po zakończeniu działalności politycznej został dyrektorem Archiwów Państwowych, obronił doktorat („Historia klubów demokratycznych”) oraz wydał kilka ważnych książek, między innymi wspomnieniową „Kiedy Lublin był Warszawą” oraz szczególnie cenną „Wolnomularstwo w II Rzeczypospolitej”. Żona nie angażowała się politycznie, wykonywała swój zawód chemiczki. Zmarł w marcu 1983 r.

, bezpartyjny, jest doktorem inżynierem chemii – był sympatykiem KOR-u i działaczem „Solidarności”; został internowany po 13 grudnia 1981 roku i siedział w jednej celi z synami dwóch innych komunistów – Adamem Michnikiem i Antonim Zambrowskim.

Rozmowa prowadzona w kwietniu 1981.

Putrament mówi o okresie stalinowskim – czas wiary i nadziei, Erenburg – strachu, a pan?

Do 1954 roku – wielkiego entuzjazmu, po 1954 roku – wątpliwości. Podjąłem wtedy decyzję, że nigdy nie będę popierał tego, z czym się nie zgadzam.

A przedtem pan popierał?

Święcie wierzyłem, że ulegając ślepej, mechanicznej dyscyplinie i popierając wszystkie poczynania Biura Politycznego, przyczyniam się do naprawy Rzeczypospolitej, do budowania socjalistycznej Polski.

I nadal pan wierzy?

W uczciwość tych ludzi wierzę. W ekipie Bieruta i Gomułki zasiadali ludzie bardzo ideowi, może często o braku kwalifikacji do pracy, którą wykonywali, ale ludzie oddani partii, co można nawet dzisiaj, w zestawieniu z ekipą Gierka, potwierdzić w fakcie, że nikt w ekipie Bieruta czy Gomułki nie miał willi, nie dbał o własne interesy.

Naprawdę? A pułkownik Światło powiedział o Bierucie, że miał on do swojej dyspozycji „dziesięć zabytkowych i luksusowo urządzonych pałacyków, a więc Belweder, willę przy ul. Klonowej w Warszawie, własne rezydencje w Natolinie, Konstancinie, w Sopocie, Juracie, Międzywodziu, Krynicy, Karpaczu oraz specjalny pawilon myśliwski w Łańsku, w województwie olsztyńskim”. Na marginesie: Łańskiem zarządzał znany dzisiaj ze swojej działalności w Bieszczadach Kazimierz Doskoczyński, wtedy jeszcze młody porucznik, postrzelony przy zamachu na Bieruta.

Ani Bierut, ani żaden inny członek Biura Politycznego nie posiadali prywatnej własności, korzystali z okresowego przydziału dla celów reprezentacyjnych. Raportu Światły zresztą, pisanego po ucieczce z Polski, nie można traktować jak historycznego źródła. Wiele w nim przekłamań,

wynikających z okoliczności, w jakich powstawał. Światło uciekł z Polski pod koniec okresu tak zwanej zimnej wojny, kiedy kontakty między Wschodem i Zachodem były nikłe i każdą informację z Polski oceniano pod kątem przydatności politycznej i bezkrytycznie. Światło postarał się więc, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu, by nadać im posmak sensacji, znacznie ubarwiając fakty, co mu się zresztą w dużym stopniu udało.

Wspominam raport Światły wcale nieprzypadkowo. Wydała go ostatnio nielegalna oficyna „NOWA”, wydała bez komentarza, że prawda miesza się w nim z fałszem tak precyzyjnie, iż trudno je oddzielić. Na przykład: „...Poza willą przy ul. Klonowej i drugą willą w Konstancinie, każdy członek Biura Politycznego ma też willę w jakiejś miejscowości wypoczynkowej... Mają też naturalnie własne sklepy należące do Ministerstwa Bezpieczeństwa...”

Światło pisał, że mieli do dyspozycji, ale nie dostawali za darmo na własność. Domy przy ulicy Klonowej były co najmniej dwurodzinne, a więc nie użytkowane tylko przez jednego dygnitarza. Faktem jest jednak, że rzeczywiście wiele willi zostało zabranych na potrzeby reprezentacyjne. W Konstancinie było ich kilkanaście, przydzielonych do użytkowania przez poszczególne osoby, ale nie stanowiły one, podkreślam, ich własności, dlatego łatwo było po 1956 roku odebrać je i zwrócić właścicielom. Pamiętam, że Radkiewicz użytkował w Konstancinie willę, która była własnością jednego z dyrektorów w Ministerstwie Finansów, Gajewskiego. Po 1956 roku została zwrócona właścicielowi. Ten wypadek znam konkretnie.

Zabierano jednak, jak się okazało, bezprawnie, a pan był przecież w tym czasie wiceministrem sprawiedliwości i do tego prawnikiem, wykształconym na dobrym, przedwojennym uniwersytecie, gdzie uczono szanować prawa osobiste i prawo własności.

Niewątpliwie było to wynikiem brutalnego ciśnienia zewnętrznej przemocy, co powodowało osłabienie ideowych motywów.

Na wiceministra zostałem powołany jeszcze w Lublinie, w 1944 roku. Ministra Czechowskiego nie było, leżał w Moskwie ze złamaną nogą, więc sam musiałem zająć się resortem. Przy wyrażeniu zgody na objęcie stanowiska zapytałem Osóbkę-Morawskiego, jakie mają być te sądy. A on do mnie:

–Czytaliście przecież manifest PKWN.

–No, czytałem. Znaczy, nie ludowe – powiedziałem.

I zacząłem organizować powszechne sądownictwo. Wzywa mnie wtedy szef personalny PPR-u, Kliszko, ze straszną awanturą.

–Dlaczego nie sądy ludowe?! – krzyczy. – Dlaczego przedwojenni pracownicy wymiaru sprawiedliwości?!

–Bo taka jest decyzja premiera – odpowiedziałem.

Po sprawdzeniu u Gomułki, urzędującego w tym samym gmachu, wyszedł jak niepyszny. Wiceministrem sprawiedliwości nie byłem długo, do stycznia 1949 roku. Kliszko, zostawszy w końcu 1948 roku wiceministrem sprawiedliwości, sprowadził na szefa nadzoru prokuratorskiego Podlaskiego, z wojska. Ten wzywał sędziów, przy nich dzwonił do Różańskiego i pytał: Jacek, ile dać? I Jacek mówił: piętnaście, a on kazał sędziom tyle wyrokować.

Kiedy doszło to do mnie, bo sędziowie przychodzili i skarżyli się, próbowałem interweniować. Zapytałem Podlaskiego, czy to prawda. Nie zaprzeczał, tłumacząc, że tak było w wojsku. Powiedziałem, że sądownictwo powszechne to nie wojsko i tak robić nie wolno. Wtedy usłyszałem, że on uzyskał na taką praktykę zgodę towarzysza Kliszki i jeżeli mnie ten styl pracy nie odpowiada, może przejąć moje obowiązki.

Julia Minc



Julia Mincowa z domu Heflich (żona Hilarego Minca - trzeciej według ważności osoby rządzącej PRL do 1956 roku, po Bierucie i Bermanie) urodziła się w 1901 roku w Warszawie. Ojciec był handlowcem, należał do SDKPiL, matka zajmowała się domem. W latach 1913-1918 rodzina przebywała w Moskwie, potem osiedliła się w Warszawie. Julia i jej siostra, Ewelina Sawicka, ukończyły gimnazjum i działały najpierw w Związku Młodzieży Komunistycznej w Polsce (po 1930 roku Komunistyczny Związek Młodzieży Polskie;), a potem w Komunistycznej Partii Polski. W roku 1922 Julia została skazana na dwa lata więzienia w głośnym procesie Leona Toeplitza, członka wydziału wojskowego KPRP. Wyszła w roku 1924 i poznała Hilarego Minca. W rok później wyjechała do Francji, dokąd wcześniej udał się na studia jej przyszły mąż. W 1925 roku wzięli ślub i po dwóch latach, kiedy władze francuskie wydalili ich z kraju za działalność komunistyczną, przenieśli się na kolejne dwa lata (1928-1929) do Związku Radzieckiego. W 1930 roku powrócili do Polski, by w 1939 roku znowu ją opuścić. Udali się do Lwowa - wtedy zajętego już przez Armię Czerwoną, a następnie - po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej - do Samarkandy, gdzie Hilary Minc został profesorem ekonomii na uniwersytecie. Stąd w 1943 roku otrzymali wezwanie do Moskwy. Julia została skierowana do pracy w Radiostacji imienia Kościuszki, a mąż do tworzącej się I. Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki. W 1944 roku oboje przyjechali do Polski. Julia Mincowa została naczelnym redaktorem Polskiej Agencji Prasowej (przez krótki początkowy okres zwanej Polpress) i trwała na tym stanowisku do 1954 roku, kiedy to poczyniono dość zasadnicze zmiany personalne w pionie propagandy. Otrzymała wtedy Sztandar Pracy II klasy i skierowano ją do Państwowej Komisji Etatów na stanowisko wiceprezesa. Po październiku 1956 roku i likwidacji tej instytucji przeniesiono ją - podobnie jak jej męża - na emeryturę. Zmarła w roku 1988.

*Rozmowy przeprowadzone
w grudniu 1983.*

Proszę pani, pan Berman powiedział mi ...

Jak wy mówicie?!

Coś obraźliwego!

Tak, mówienie do towarzysza przez "pan" jest obraźliwe.

Pan Berman nie jest przecież już członkiem partii.

Nie jest członkiem partii, ale jest towarzyszem. Przed wojną jak ktoś nawet nie należał do partii, a tylko płacił na MOPR, był już innym człowiekiem i mówiło się o nim towarzysz. Zmiana tej formy na "pan" znaczyła, że coś przeszkrobał. Towarzyszka, rozmawiając z towarzyszką, powinna szanować nasze dawne przyzwyczajenia.

Ale ja, proszę pani, ja nie ...

Znowu ta pani!

Bo jesteśmy w Polsce. Więc Berman (tak dobrze!) powiedział mi, że kiedy odszedł, wokół niego powstała pustka.

Jest taka powieść radziecka, w której bohaterka opowiada, że jak posadzili jej męża w więzieniu, w domu nagle zrobiło się zupełnie cicho. Nikt nie dzwonił, znajomi przestali przychodzić.

U pani też nastąpiła cisza!

Ja hałasowałam.

A przyjaciele! Nie zadzwonili!

Nie ma politycznych przyjaźni na całe życie. Nie miałam o to do nikogo pretensji.

A prywatnie!

Prywatnych też nie mieliśmy. Nie było na nie czasu. Minc siedział do dwunastej lub pierwszej w nocy w Komisji Planowania, a ja w Polskiej

Agencji Prasowej. Przeważnie do dziesiątej wieczór wypuszczałam kartki do biuletynu, w dni zaś, kiedy wygłaszano wielkie przemówienia i trzeba je było tłumaczyć, nawet do drugiej w nocy. Któregoś razu podjeżdżam pod dom, jest pierwsza, a po naszej ulicy spaceruje Bierut z Mincem. Wrócili właśnie z jakiejś narady i jeszcze coś ze sobą omawiali.

Chodziłam spać o trzeciej w nocy, spałam do jedenastej i znowu jechałam do PAP-u. Tak wyglądał mój dzień. My wszyscy ciężko pracowaliśmy, czego teraz ludzie nie potrafią z pewnością docenić.

A w niedziele!

Całe przesypiałam. Minc, kiedy nie miał zebrań - także. Każdy z nas był strasznie zmęczony.

Żadnych przyjemności!

Praca była przyjemnością. To ogromna radość budować od początku całkiem nowy kraj i satysfakcja, jak się widzi rezultaty.

Pani jest z nich zadowolona, prawda!

Oczywiście. Są teraz przejściowe trudności, sytuacja się trochę skomplikowała, bo nastąpił bunt "Solidarności", są restrykcje amerykańskie, może i ekipa gierkowska popełniła jakieś błędy, ale partia oświadczyła wyraźnie na swoim IX zjeździe, że je naprawi, i właśnie naprawia. Nigdzie zresztą nie jest powiedziane, że socjalizm ma być zbudowany w kilka lat. Jest to walka o socjalizm, która wciąż będzie trwała, bo jak głosi nasza komunistyczna pieśń,

Do teatru chodziliście?

No, skąd! Gdzie był czas?!

A do kina?

Kino mieliśmy w domu. Dzwoniło się i przyjeżdżali. Zawieszali ekran i się oglądało. Drugie było w klubie.

W jakim klubie?

W Konstancinie. Mieszkaliśmy przeważnie w Konstancinie.

A nie w Warszawie, w willi przy ulicy Klonowej ?

Tam też, ale tylko kilka miesięcy w roku. Większość czasu, a raz nawet cały rok spędziliśmy w Konstancinie. Duży ogród, dookoła las, lepsze powietrze.

W którym miejscu?

Na Królewskiej Górze, do naszego miasteczka jechało się drogą wyłożoną czerwonymi cegłami. Obok nas miał swój dom Bierut, trochę dalej Radkiewicz, Józwiak, pracownicy ambasady radzieckiej ...

Berman nie?

Miał, ale mieszkał przeważnie w Warszawie. W naszym osiedlu był klub, stołówka i kucharz, który bardzo kochał psy. Ja miałam trzy w budzie: Toškę, Murkę i Mopsia (bardzo lubię psy, zawsze je brałam, nawet z ulicy) i one już o drugiej, kiedy zaczynano wydawać obiady, siadały pod oknem kuchni i dyżurowały. Kucharz kroił wtedy mięso i co jakiś czas rzucał im po kawałku.

Jadaliście obiady w stołówce!

Nie, u mnie gotowało się w domu i przywozili do PAP-u na Foksal. Franka Maryńska gotowała, przedwojenna łączniczka Sekretariatu KC KPP, bardzo dobrze gotowała. Potem Rokossowski wziął ją do siebie. Była też babcia Garbarczykowa, tak na nią mówiliśmy, służyła u nas jeszcze przed wojną. Dom jednak nie był wzorowo prowadzony.

To kto jadał w stołówce?

Nie wiem, ktoś jadał.

Jakub Berman



Urodził się w 1901 roku w Warszawie w średnio zamożnej rodzinie mieszczańskiej. Ojciec był przedstawicielem handlowym – zginął w Treblince, hitlerowskim obozie zagłady; matka nie pracowała, umarła przed wojną. Wszystkie dzieci (pięcioro) otrzymały wyższe wykształcenie. Najstarszy brat był chirurgiem (zginął wraz z żoną i jej rodzicami w Treblince); jedna siostra została germanistką (zginęła w czasie wojny); druga siostra – pedagogiem (drugą wojnę światową przeżyła w Związku Radzieckim). Brat Adolf był psychologiem (doktorat obronił u profesora Witwickiego, przed wojną był aktywnym działaczem w Poalej Syjon-Lewicy i w żydowskiej placówce opiekuńczej; w 1943 roku przeszedł z getta warszawskiego na stronę aryjską, działał w prezydium Żydowskiego Komitetu Narodowego i w AK-owskiej Radzie Pomocy Żydom jako sekretarz „Żegoty”. Po wojnie był posłem do Krajowej Rady Narodowej i działaczem Centralnego Komitetu Żydów w Polsce; w 1950 roku wyemigrował do Izraela, gdzie został członkiem partii Mapam, następnie Komunistycznej Partii Izraela oraz posłem do Knesetu i członkiem prezydium Międzynarodowej Federacji Bojowników Ruchu Oporu; zmarł w 1978 roku). ukończył w 1925 roku studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie był nieetatowym asystentem profesora Ludwika Krzywickiego na wykładach z historii ustrojów społecznych. Pod jego kierunkiem napisał pracę doktorską pod tytułem „Struktura miast polskich na podstawie spisu z 1791 roku” oraz zamieścił rozprawę (w tomie II-III „Ekonomisty” w 1926 roku) o założeniu związku zawodowego lokajów pod tytułem: „Służba domowa w Warszawie w końcu XVIII wieku”. Miał szansę zrobienia kariery naukowej.

W czasie studiów związał się z lewicową organizacją studencką „Życie i Pochodnia”, a w 1924 roku ze Związkiem Młodzieży Komunistycznej w Polsce (od 1930 roku Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej). Po studiach, w latach 1926-1928, był działaczem Propagitu KC KZMP. Do KPP został przeniesiony w 1928 roku w wieku dwudziestu siedmiu lat i powierzono mu funkcję kierownika wydziału inteligenckiego KPP przy Centralnym Wydziale Zawodowym. Był członkiem tego wydziału i kierownikiem jego redakcji. W 1939 roku po wybuchu wojny opuścił Warszawę i udał się do strefy radzieckiej – najpierw do Równego, a potem do Białegostoku. Na wiosnę 1941 roku skierowano go do Mińska na stanowisko redaktora „Sztandaru Wolności” (w dziale łączności z czytelnikami) – organu Komunistycznej Partii Białorusi.

Niedługo po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej znalazł się w Moskwie. Przez krótki czas pracował w Radiostacji imienia Kościuszki, następnie został wykładowcą i kierownikiem polskiego kursu w szkole kominternowskiej w Kusznarenkowie, przygotowując do zrzutu do Polski drugą Grupę Inicjatywną PPR. W grudniu 1943 roku powołano go na sekretarza wydziału krajowego Związku Patriotów Polskich, a w kwietniu 1944 roku dokooptowano do Zarządu Głównego ZPP. Także w grudniu 1943 roku uczestniczył w powołaniu Polskiego Komitetu Narodowego, będąc członkiem jego Komitetu Organizacyjnego. W ostatnich dniach grudnia zainspirował utworzenie Centralnego Biura Komunistów Polskich w ZSRR, w którym odpowiadał za sprawy krajowe i łączność z krajem.

W lipcu 1944 roku brał udział w tworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, do PKWN-u jednak nie wszedł. W sierpniu 1944 roku w trakcie reorganizacji władz PPR-u został członkiem Biura Politycznego partii. Nie zajmował wtedy eksponowanych stanowisk. Był kolejno podsekretarzem stanu w MSZ (rok 1945), podsekretarzem stanu w Prezydium Rady Ministrów (1945-1950), uczestniczył też w posiedzeniach Centralnej Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Politycznych (1945-1947). We wrześniu 1947 roku brał udział (w charakterze doradcy) w naradzie partii komunistycznych w Szklarskiej Porębie, kiedy to utworzono Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych (Kominform). W czerwcu 1948 roku był delegatem PPR-u na konferencję BI, która potępiła Komunistyczną Partię Jugosławii oraz podjęła decyzję o kolektywizacji wsi.

Brał aktywny udział w komisji wspólnej PPR i PPS, opracowując deklarację ideowo-programową PZPR, a także z Romanem Werflem i Franciszkiem Fiedlerem był autorem projektu tej deklaracji. Na I zjeździe PZPR (w grudniu 1948 roku) został członkiem Biura Politycznego (do maja 1956), Sekretariatu KC (do 1954) i Biura Organizacyjnego KC, oficjalnie odpowiedzialnym za problemy ideologiczne, oświatowe, kulturę, propagandę oraz sprawy zagraniczne i bezpieczeństwa publicznego. Znalazł się w najściślejszym kierownictwie partii (Bierut, Berman, Minc). Ponadto był członkiem prezydium rządu (1950-1952), wicepremierem (1954-1956) oraz posłem na sejm (1945-1956).

Po śmierci Bieruta odszedł z Biura Politycznego i rządu (maj 1956), jesienią 1956 roku został usunięty z KC PZPR, a w roku następnym pozbawiono go (razem ze Stanisławem Radkiewiczem, ministrem bezpieczeństwa publicznego) członkostwa partii, jako odpowiedzialnego za „okres błędów i wypaczeń”. Następne lata spędził

w wydawnictwie „Książka i Wiedza” w charakterze redaktora, w 1969 roku przeniesiono go na emeryturę.

Zmarł w kwietniu 1984 roku, w trakcie autoryzacji niniejszego wywiadu.

*Zapis rozmów przeprowadzonych między kwietniem 1982
a kwietniem 1984.*

Przez dziesięć lat był pan drugą po Bierucie osobą w PRL, mózgiem partii, jej najwyższym autorytetem; potem został pan oskarżony o najcięższe zbrodnie i zdrady, jakie człowiek może popełnić; na koniec pana skreślono. Nawet z encyklopedii powszechnej.

Normalne. Wyklęty, więc go nie ma. Kiedy byłem u władzy, umieszczali mnie nawet w radzieckiej, potem jednak skreślili. Oni zresztą zawsze manipulowali swoją historią, a ci ulegają temu samemu. Gomułka, który to zainspirował, nie wykazał wielkoduszności w stosunku do mnie.

Prawdopodobnie nie mógł mi darować, iż może także pod moim wpływem złożył samokrytykę w 1948 roku. Tkwił w nim widocznie z tego powodu jakiś uraz. Innego wytłumaczenia nie potrafię znaleźć. Jego postawa w niejednej sprawie wciąż jest dla mnie zagadką. Tym bardziej że uważałem go za człowieka bardziej rozważnego, potrafiącego opanować swoje awersje. Jeżeli nawet mnie nie lubił (trudno, nie każdy musi mnie kochać), to jednak na tyle mnie znał, że nie powinien był robić z mojego biletu partyjnego kwestii na wieki wieków, a zrobił! W dotyczącej mnie uchwale znalazła się klauzula, że w okresie trzech lat po wydaleniu mogę się zwrócić o przywrócenie praw partyjnych. Uchwyciłem się jej i zwracałem dwa razy, i Gomułka dwa razy odpowiadał, że czas jeszcze nie dojrzał.

Osobiście?

Nie, jego sekretariat, z powołaniem się na uchwałę podjętą na Biurze Politycznym. Naturalnie, nikt nie potrafił mu się przeciwstawić, choć wszyscy mnie znali. Sprzykrzyło mi się i zaniechałem starań.

Werfel zwraca się do każdego zjazdu już od piętnastu lat.

Są tacy maniacy, ja do nich nie należę. Gomułka do Radkiewicza, który został wykluczony razem ze mną, przysłał bilet partyjny, kiedy ten leżał chory w szpitalu, więc mu wybaczył, a mnie nie wybaczył. Do mnie się nie odezwał, jego sprawa. Nie przewidywałem takiego rozstrzygnięcia, tym bardziej że sam usunąłem się ze wszystkich stanowisk. Kiedy więc stanęła sprawa mojego wydalenia z partii, głosowałem przeciwko, ja i jeszcze dwudziestu paru towarzyszy. Większość jednak opowiedziała się – za. Wydalenie z partii było dla mnie szokiem, odczułem je jako wielką krzywdę.

A co pan czuł, kiedy w 1937 i w 1938 roku mordowano w ZSRR tysiące komunistów?

Przypuszczałem, że terror wielkiej czystki jest ubocznym skutkiem poszukiwań wyjścia z bardzo ciężkiej sytuacji międzynarodowej, w jakiej znalazł się Związek Radziecki, oraz być może efektem sprzeczności i wewnętrznej szarpaniny Stalina. Kto wie, czy nie powiązanej z jego chorobliwą podejrzliwością, która przybrała postać aberracji psychicznej. Nie szukałem usprawiedliwienia tej sytuacji, ale przyjmowałem ją jako tragiczny splot, który pociągnął za sobą liczne, ogromne ofiary. Próbowałem, naturalnie, rozpaczliwie chwytać się myśli, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, dosyć płytkiego zresztą powiedzonka. Wtedy, w 1938 roku, krążyło między nami i chyba dla niektórych było półpocieszeniem w zaistniałej sytuacji. W Związku Radzieckim rozpoczęła się gwałtowna czystka, procesy, które w jakimś sensie rzuciły okrutny cień na historię ruchu komunistycznego. U wielu członków zrodził się szereg wątpliwości.

Leon Kasman



Urodził się w 1905 r. w Łodzi, w rodzinie mieszczańskiej. Ojciec był handlowcem (zginął w getcie warszawskim), matka nie pracowała. Najstarsza siostra ukończyła architekturę, starszy brat był elektrotechnikiem (zginął w getcie warszawskim). Leon uczęszczał na wydział handlowy Wyższej Szkoły Realnej Zgromadzenia Kupców miasta Łodzi (której nie ukończył z powodu aresztowania), a następnie podjął naukę w Warszawie w Wolnej Wszechnicy. Z ruchem komunistycznym związał się jako 14-letni chłopiec, a mając niespełna 17 lat został członkiem egzekutywy Komunistycznego Związku Młodzieży w Polsce okręgu łódzkiego i członkiem KPRP.

W okresie międzywojennym spędził w więzieniach ponad 9 lat. W latach 1934-36 był wykładowcą i zastępcą kierownika polskiego kursu w kominternowskiej „Leninówce” w Moskwie. We wrześniu 1939 przedostał się do Lwowa, a pod koniec 1941 został wezwany do pracy w kadrach Kominternu. W lipcu 1943 pod pseudonimem „Janowski” został przerzucony do obozu partyzantów radzieckich na Białorusi, a w roku następnym skierowany jako przedstawiciel Kominternu na Lubelszczyznę do partyzanckich oddziałów Armii Ludowej, kierowanych przez M. Moczara.

Po wojnie był kolejno: w Lublinie – kierownikiem wydziału propagandy i agitacji KC PPR oraz naczelnym redaktorem „Trybuny Wolności”, w Łodzi – kierownikiem wydziału propagandy KC PPR sprawującym nadzór nad redakcjami „Głosu Ludu” i „Trybuny Wolności”, w Warszawie – kierownikiem wydziału organizacyjnego KC PPR, dyrektorem Spółdzielni Wydawniczej „Książka”, zastępcą przewodniczącego Centralnego Urzędu Planowania. W XII 1948 powołano go na redaktora naczelnego nowego partyjnego dziennika „Trybuna Ludu”. Zdjęty w ramach walki z kosmopolityzmem w grudniu 1953, został wiceministrem przemysłu lekkiego (do 1955), a następnie (do 1957) zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania. W 1957 powierzono mu ponownie, tym razem na 10 lat funkcję redaktora naczelnego „Trybuny Ludu”. W grudniu 1967 na fali kolejnej czystki ustąpił ze stanowiska i został mianowany wiceprezesem Narodowego Banku Polskiego. Na krótko, bo w 1968, w wieku 63 lat, przeniesiono go na emeryturę. Zmarł w 1984.

Rozmowa prowadzona w...

Urodziłem się w 1905 r. To był zły świat, proszę pani, naprawdę zły. A ludziom wydawało się, że będzie trwać wiecznie. Chciałem go zmienić. Na lepszy. Ludzie, którzy robią rewolucję, zawsze są najgłębiej przekonani, iż walczą o to, by było lepiej. I w ostatecznym rachunku chyba wychodzi coś lepszego od starego, co jest jednak bardzo dalekie od ideału, o który walczyli.

– **Co wyszło u nas?**

Och, proszę pani. Wolałbym tego nie dożyć. Po co ja dożyłem takiego gnoju? Po co!

Chodziłem do gimnazjum w Łodzi. Założyliśmy grupę samokształceniową, kilkadziesiąt osób. Należała do niej młodzież prawie wyłącznie z inteligenckich domów. Dowiedział się o nas komitet łódzki partii. Wy teraz będziecie z „Młodą Komuną” – powiedzieli i wzięli nas pod opiekę.

Poza paroma – wszyscy zginęli.

Moja matka płakała. Była jednak szalenie zakochana w swoim synu, więc uważała, że nie może przeszkadzać. Ojciec zaś podsuwał mi książki krytykujące marksizm i próbował tłumaczyć. Mówił: ty nie jesteś robotnikiem, to co masz wspólnego z ruchem robotniczym. Mówił: ten ruch nie jest ruchem demokratycznym, nie uznaje racji większości, on – choć jest w mniejszości – chce narzucić swoją.

Ale (*śmiech*) ja już, proszę pani, te argumenty miałem przestudiowane, ja już byłem rewolucjonistą. A każdy rewolucjonista i w ogóle każdy, kto wejdzie w ideowy ruch – bo komunizm był ruchem ideowym, silnie ideowym – poddany jest wewnętrznym sprężynom, kształtującym sposób myślenia, zmieniającym osobowość. Jeśli ten ruch na dodatek jest nielegalny, jeśli jego uczestnicy żyją w sytuacji zagrożenia, w ruchu zaczyna dominować uczucie zamknięcia i przeobraża się on stopniowo – jeśli nie w rodzaj sekty – to na pewno jakiegoś zakonu. Zamknięcie bowiem

produkuje własny kodeks moralny, któremu trzeba się podporządkować i jak się go naruszy, będzie się nie w porządku wobec partii, wobec towarzyszy.

Po raz pierwszy aresztowano mnie w 1922. Miałem 17 lat. Siedziałem w więzieniu na Targowej w Łodzi. Aresztowano wtedy mnóstwo starych działaczy robotniczych w związku z wyborami do sejmu. Wielu z nich kandydowało z listy komunistycznej, którą unieważniono, a ich na czas wyborów na wszelki wypadek zatrzymano. Galeria bardzo ciekawych ludzi, robotników, uczestników pierwszych rewolucji w Polsce, którzy za działalność rewolucyjną wiele lat przesiedzieli na Sybirze.

Dzisiaj, proszę pani, różni gówniarze wypisują, że ten Ruch zrobili moskiewscy agenci. Nieprawda! Ten Ruch korzeniami sięga czasów po Powstaniu Styczniowym.

Wśród starych działaczy był Rychwalski. Wszyscy nazywali go „Dziadkiem”. Najpierw należał do Kas Oporu, które zbierały pieniądze, żeby mieć rezerwę na wypadek strajku, potem do I Proletariatu, przesiedział w katordze i na zesłaniu 14 lat, wrócił do Polski w 1905, działał w PPS-ie, później przeszedł do PPS-Lewicy i został komunistą. Miał ponad 70 lat i do nas młodych mówił: ty, gówniarzu, ja się z twoim ojcem znałem, ty dla mnie, to wiesz, smarkacz jesteś, o!

Chodził z nami na więzienne spacerunki i opowiadał swoje przygody, a miał ich bez liku. Poszedł na przykład agitować za socjalizmem na wieś, chłopcy powiedzieli o nim – antychryście, złapali go i wydali policji. Siedział w areszcie w zapadłej wsi, gdzie był jeden starszy posterunkowy oraz dwóch stójkowych i któregoś razu przyszła gromada chłopów obejrzeć antychrysta. On stanął przy kracie, wyciągnął rękę, chłopcy się przestraszyli, cofnęli, a on do nich zawołał: widzicie? nie ma szponów. I zaczął im deklamować wiersz Konopnickiej, przerywając go swoimi komentarzami. Wiedział jak trafić do ich umysłów, bo kiedy skończył, chłopcy go uwolnili.

W więzieniu na Targowej postanowiliśmy podjąć głodówkę. Towarzysze powiedzieli do „Dziadka” Rychwalskiego: dziadku, nie możecie z nami głodować, jesteście starzy, idźcie do lekarza i na czas naszej głodówki on was wyśle do szpitala. A Rychwalski do nich: wy, gówniarze, co wy sobie myślicie? Durniu, ja na twoim pogrzebie jeszcze mowę wygłoszę. I głodował razem z nami. Potem po głodówce przewieziono nas przed Bożym Narodzeniem do więzienia w Piotrkowie Trybunalskim. Nasz starosta – Ludwik Komorowski, piekarz, poszedł do naczelnika więzienia.

– Jeśli na Łukiszkach w Wilnie za panowania gubernatora Nowosilcowa mogli się więźniowie zejść na Boże Narodzenie w jednej celi, to pan będzie gorszy?

Naczelnik był – widać – starej daty, liberał. I „Dziady” prawdopodobnie czytał, bo znał te sceny. Dobrze – powiedział – ja się zgadzam.

– **No proszę, przepraszam, że przerywam, ale po wojnie, w pana czasach musiałyby się Biuro Polityczne zebrać, by zezwolić, prawda?**

No dobrze, dobrze. Ci naczelnicy wtedy to byli różni ludzie, przeważnie z carskich czasów.

– **Różni, a nie wszyscy tacy sami, prawda?**

No już dobrze. Ten pozwolił, ale jak to wyglądało. Do łódzkiej celi, gdzie było nas ze dwudziestu kilku, strażnicy przyprowadzili komunistów z dwóch innych cel. Rozstawiliśmy stoły, wyłożyliśmy wałówki, które dostaliśmy od rodzin i wystawiliśmy ciasta, przysłane nam przez robotników, którzy przed świętami zrobili składkę na więźniów politycznych i zakupili dla nas całe kosze przeróżnych wypieków. Trochę pożartowaliśmy, trochę pogadaliśmy i bardzo szybko zaczęliśmy się wspólnie zastanawiać, jaką akcję protestacyjną przedsięwziąć i jakie żądania władzom więziennym wysunąć (śmiech). Tacy byliśmy, proszę pani, w nieustającej walce.

Kalendarium wydarzeń 1944-1970

1944

Styczeń

- Armia Czerwona przekroczyła przedwojenne granice Polski. Rząd RP na Wychodźstwie wyraził nadzieję, że ZSRR „uszanuje prawa i interesy Rzeczypospolitej i jej obywateli”.
- W Moskwie powołano (niejawnie) Centralne Biuro Komunistów Polskich, sztab opracowujący taktykę przejęcia władzy w Polsce oraz programujący (w zamierzeniach) obsadę stanowisk w przyszłym rządzie komunistycznym. Do Biura weszli: Aleksander Zawadzki, Stanisław Radkiewicz, Jakub Berman, Karol Świerczewski, Wanda Wasilewska, Roman Zambrowski (przebywający w ZSRR) oraz Marian Spychalski (jako jedyny przedstawiciel z kraju).

Lipiec

- Wilno (a potem Lwów) zostało wyzwolone przez Armię Krajową wspomaganą przez Armię Czerwoną. Po czym NKWD podstępnie aresztowało dowództwo wileńskiego i lwowskiego AK oraz kilka tysięcy polskich żołnierzy. Wywieziono ich w głąb ZSRR, większość nie wróciła.
- W Moskwie utworzono Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (o uprawnieniach rządu), ośrodek wykonawczy Krajowej Rady Narodowej (powołanej w sylwestra 1943). PKWN ogłosił 21 lipca przez moskiewskie radio swój Manifest Lipcowy, zapowiadający reformę rolną i nacjonalizację przemysłu oraz równość, sprawiedliwość i demokrację. Do PKWN weszli między innymi: Edward Osóbka-Morawski jako przewodniczący oraz Wanda Wasilewska i Andrzej Witos jako zastępcy. Stanisław Radkiewicz został kierownikiem resortu bezpieczeństwa, Stefan Jędrzychowski – informacji i propagandy, Michał Rola-Żymierski – obrony narodowej. PKWN przekazał Armii Czerwonej prawo jurysdykcji na terenach

polskich, zezwalając na masowe aresztowania i deportację obywateli polskich do ZSRR (co nastąpiło).

Sierpień

- W Warszawie wybuchło powstanie. Armia Czerwona zatrzymała się na prawym brzegu Wisły. Powstanie po sześćdziesięciu trzech dniach upadło. Zginęło około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Resztę (sześćset tysięcy) Niemcy wypędzili do obozów, Warszawę spalili.
- W Paryżu wybuchło powstanie. Na pomoc (za zgodą amerykańskiego generała Dwighta Eisenhowera, głównodowodzącego frontem zachodnim) pospieszyły jednostki wojskowe „Wolnej Francji”. W wyzwolonym Paryżu na Polach Elizejskich odbyła się triumfalna parada wojskowa z udziałem generała Charlesa de Gaulle’a.
- W Rumunii, częściowo już zajętej przez Armię Czerwoną, Front Narodowo-Demokratyczny przeprowadził zamach stanu, poparty przez króla Michała I, i obalił faszystowski rząd generała Iona Antonescu. Front – utworzony wiosną w porozumieniu z aliantami – został zmontowany przez dwie antykomunistyczne partie: narodową (skupioną wokół Juliu Maniu) oraz liberalną. Do Frontu weszły także dwie partie: socjaldemokratyczna i komunistyczna, które w powołanym rządzie koalicyjnym (kierowanym przez bezpartyjnego generała Constantina Sanatescu) otrzymały marginalne funkcje.
- W Słowacji wybuchło powstanie. Kierownictwo nad nim po kilku dniach przejęli komuniści, między innymi Rudolf Slánský i Gustav Husák. Po dwóch miesiącach potyczek upadło. Cel – związanie sił niemieckich, by ułatwić Armii Czerwonej szybsze zajęcie Rumunii – osiągnęło.

Wrzesień

- Bułgarię zajęła (bez walk) Armia Czerwona. Wcześniej rząd bułgarski próbował zadeklarować neutralność, odrzuconą przez Wielką Brytanię i ZSRR. Front Patriotyczny (zmontowany przez komunistów w sierpniu

1943 i współpracujący z Sowiecami) powołał w drodze zamachu stanu rząd, nazwany koalicyjnym, z udziałem: komunistów, socjalistów, Bułgarskiego Ludowego Związku Chłopskiego oraz niewielkiej, elitarnej grupy „Zweno”. Premierem został przedstawiciel „Zweno”, a komuniści objęli resorty: spraw wewnętrznych i sprawiedliwości.

- W Lublinie PKWN wydał w formie dekretu kodeks karny Wojska Polskiego, w którym karę śmierci przewidziano w siedemnastu artykułach, między innymi dla każdego, kto publicznie łży, znieważa albo wyszydza ustrój (komunistyczny). W następnych tygodniach ukazał się dekret „O ochronie państwa”, który zawierał jedenaście czynów zagrożonych karą śmierci, między innymi posiadanie radia bez zezwolenia, sprzeciwianie się (nie uchwalonej jeszcze) reformie rolnej oraz nieinformowanie władzy ludowej o przygotowywanym przez inną osobę przestępstwie.

Listopad

- W Albanii powstał (pod protektoratem Jugosłowiańskiej Partii Komunistycznej) rząd komunistyczny. Premierem został komunista Enver Hodża. Będzie rządził przez czterdzieści jeden lat.

Grudzień

- W Bułgarii powołano „sądy ludowe”. W pierwszym procesie, trwającym dziesięć dni, skazano na śmierć: trzech carskich regentów, dwudziestu ośmiu byłych ministrów, sześćdziesięciu ośmiu członków byłego parlamentu i jednego carskiego doradcę. W następnych „sądy” skazały na śmierć według oficjalnych danych prawie trzy tysiące osób, a na długoletnie więzienia ponad osiem tysięcy. Według nieoficjalnych źródeł zabitych zostało około trzydziestu tysięcy osób.

- Na Węgrzech, zajętych przez Armię Czerwoną, powstał rząd tymczasowy. Komuniści, którzy przyjechali na Węgry z ZSRR i go zmontowali, zaprosili do niego przedstawicieli czterech

niekomunistycznych partii lewicowych (między innymi „Drobnych Rolników” i socjaldemokracji), na początek zadowolając się dwoma ministerstwami (jedno objął Imre Nagy). Premierem został generał Miklós Dálnoki.

- W Polsce PKWN zmienił nazwę na Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej. Polska w rok 1945 weszła z dwoma rządami: legalnym w Londynie, uznanym w świecie, i tymczasowym, uznawanym tylko w Moskwie.

1945

Luty

- W Jałcie na Krymie odbyła się konferencja Wielkiej Trójki (Roosevelt, Churchill, Stalin). W sprawie Polski postanowiono: 1. tymczasowo przesunąć granicę na zachód, bo „ostateczne ustalenie granic Polski na zachodzie powinno nastąpić na konferencji pokojowej”; 2. zrekonstruować Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, uzupełniając go o przedstawicieli rządu londyńskiego oraz 3. przeprowadzić w Polsce „wolne, nieskrępowane wybory na zasadzie powszechnego i tajnego głosowania”.

Marzec

W Rumunii powstał czwarty rząd (od sierpnia 1944). Tym razem zaakceptowany przez Moskwę. Premierem został Petru Groza, przywódca radykalnego skrzydła Frontu Rolników, który nie był reprezentowany we Froncie Narodowo-Demokratycznym, ale został do niego pod presją radziecką dokooptowany. Groza powołał rząd podporządkowany komunistom, usuwając z niego przedstawicieli partii niekomunistycznych.

W Polsce NKWD porwało i wywiozło do Moskwy szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, między innymi Leopolda Okulickiego – ostatniego komendanta rozwiązanej przed dwoma miesiącami AK, Kazimierza Pużaka – wieloletniego przywódcę PPS i przewodniczącego

Notka bibliograficzna



Copyright © Teresa Torańska & iSource S.A., Warszawa 2012

Opracowanie graficzne i skład:

Łukasz Kuczborski, iSource S.A.

Wykorzystanie treści zawartych w niniejszej publikacji w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób wymaga uzyskania zgody i podania źródła.

Wykonano w całości na komputerach Apple® MacBook Pro, z wykorzystaniem programu Pages firmy Apple®.

Wydawca:

iSource S.A.

ul. Postępu 6, 02-676 Warszawa

tel. +48 22 550 86 00

<http://www.isource.pl/appdev>

appdev@isource.pl

ISBN 978-83-63328-20-7

Niedostępne w wersji demonstracyjnej.

Zapraszamy do zakupu

pełnej wersji książki

w serwisie

